



# EQUETRIP

## ROZDZIAŁ D2-CDV

Dalir czuł przez sen, jak ktoś mocno szarpie nim za ramię.

– Zieeew... Jeszcze pięć minut – mruknął, próbując zagrzebać się w pościeli.

– *Wakey, wakey!* – obwieścił po angielsku radosny damski głos. Na wpół jeszcze śpiący pegaz otworzył oczy i spojrzał prosto w złociste oczy akwamarynowej klaczy jednorożca, która uśmiechnęła się na jego widok.

– Ale piękny sen... – szepnął do siebie.

– Dojeżdżamy! – obwieściła Lyra, po czym ziewnęła, zasłaniając pysk kopytem i strzygąc przy tym uszami. – Za piętnaście minut przyjedziemy do Ponyville. Twoi koledzy już dawno nie śpią! – klacz zeskoczyła z drabinki, o którą się do tej pory opierała. Dalir przeciągnął się i szedł na podłogę. Za oknami wciąż było ciemno, ale w wagonie paliło się jasne światło.

– Mnie się tam nie chce spać – stwierdził Chum, który pakował się powoli.

– Ani mnie – dodał Van. On, dla odmiany, najwyraźniej miał już wszystko przygotowane, a teraz leżał z jukami na grzbiecie na swojej leżance i patrzył w okno. Dalir wziął swoje juki, z których podczas podróży nic nie wyjmował, zarzucił je sobie na grzbiet i dociągnął popręg.

– *Czekasz na mnie, wiem to na pewno, a ja jadę do ciebie wbrew, przeciwnościom i ostrym zakrętom, jedzie equestriańskie PKP...* – podśpiewywał Van pod nosem, patrząc w ciemność.

– Uech... – ziewnęła Lyra. Najwyraźniej była tak samo niewyspana jak Dalir. – Co to jest PKP?

– Tak w Pol... znaczy w Imperium Gryfów mówią na pociągi.

– A czemu?

Van myślał przez chwilę, po czym wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Początki tego określenia już dawno zaginęły w mrokach pamięci.

– Ktoś czeka na ciebie w Ponyville? – sennym głosem spytała cyjanowa klacz.

– Raczej nie – pysk Vana powoli oblewał się rumieńcem. – Ta piosenka mi się po prostu przypominała...

– Nie znam jej.

– Bo to taka moja... zmyślona...

– Taaa, jasne, zmyślona – mruknął Chum. – Nasz Van po prostu nie może doczekać się, aż zobaczy na własne oczy Ra...

– Zamilcz! – syknął Van.

– Oj, przepraszam, nie wiedziałem, że nie chcesz, żeby wszyscy wiedzieli, że lubisz Ra...

– *Zamknij, kurwa, ryj!* – burknął po polsku przez zęby Van. Cały jego pysk był już czerwony.

– Ra... tusz? – zapytała sennie Lyra. – Rzeczywiście, niektórzy uważają go za perłę architektury, no ale bez przesady...

Van zacisnął zęby, starając się nie dawać Chumowi pretekstów. Dalir odszedł kilka kroków od dwójki swoich kolegów i zauważył, że Heartland Flyer także nie spał.

– Jok się masz! – powiedział wesoło limonkowy pegaz. Ziewnął rozdzierająco. – Ale niekuczo porę wybrałista na przyjazd... No ale jo jeszcze sobie pośpię, ino się z wami pożegnam... Wpadniĳta kiedyś do Canterlot, to pogadamy.

– A jak się znajdziemy? – spytał Dalir.

– Mom knajpę niedaleko pałacu. Właściwie to naprzeciwno... Myślę, że mnie poznacie.

– Pewnie tak – stwierdził sennie Dalir, po czym ziewnął głośno. W tym momencie spod wagonu dobiegło przeciągłe syknięcie połączone ze zgrzytem, po czym do jednostajnego stukotu kół dołączył głośny szum. Pociąg zaczął zwalniać.

– Tak mi się widzi, że już się żegnać musimy – Flyer ucisnął kopyto Dalirowi, a potem reszcie kucy. – Do zobaczenia, mom nadzieję.

– Na razie – odpowiedziały chórem kucyki. Pociąg właśnie zatrzymał się z szarpnięciem, więc Chum, który był najbliżej drzwi, nacisnął klamkę i wyszedł jako pierwszy. Za nim ruszyli Lyra i Dalir.

– A czemu łon tych dźwi magio nie otworzy? – spytał Flyer.

– Boi się – wyjaśnił po cichu z udawanym współczuciem idący na końcu Van, który w tym momencie jako ostatni wychodził z wagonu. – Ostatnio jak z niej korzystał, to niechcący zamienił rodziców w zupę i ich zjadł...

Było dość chłodno, a po widocznych wokół ponywilskiej stacji polach snuła się poranna mgła, zabarwiona na różowo przez pierwsze promienie wschodzącego słońca. Kuce stały na drewnianym peronie, a Van zamknął za sobą drzwi. Parowóz gwizdnął przeciągłe, zaspany dyżurny ruchu dał sygnał odjazdu i pociąg ruszył.

– Brrr... Zimno – Lyra przytuliła się bokiem do Dalira. Pegaz zarumienił się, gdy poczuł na boku ciało klaczy. Naraz przyszło mu do głowy coś jeszcze.

– Mogę?... – spytał, po czym ostrożnie okrył jej grzbiet jednym ze swoich skrzydeł. Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Podróżnicy przeszli przez budynek stacyjny i ruszyli przez miasteczko.

Ponyville widziane z bliska stanowiło istny bajzel urbanistyczny. W porównaniu z nim Hayventry wyglądało na uporządkowane. Brukowane uliczki wiły się to w prawo, to w lewo pomiędzy równo skoszonymi trawnikami (Dalir zastanawiał się przez chwilę, czy mieszkańcy nie koszą ich czasem własnymi zębami), a pomiędzy nimi stały luźno rozrzucone po okolicy budynki. Mimo to jednak panorama tego miasteczka była bardzo bliska sercu każdego broniego. Spod dworca nie było widać rynku ani budynku ratusza, ale dookoła było dość innych charakterystycznych elementów.

– O ja cię kręcę... Czuję się jak w Beverly Hills – stwierdził Van z zachwytem.

– Czemu?

– Bo dookoła siebie widzę budynki, które do tej pory oglądałem tylko w interne... znaczy na zdjęciach – stwierdził pegaz, po czym wyciągnął z juków aparat i zawiesił go sobie na szyi. Zachwycony pstrykał zdjęcia coraz to kolejnym budynkom. – Czy to czasem

nie Sugarcube Corner? A to... Carousel Boutique?

– O tej porze i tak wszystko jest pozamykane – stwierdziła Lyra. – To sława naszego miasteczka sięgnęła już Imperium Gryfów?

– Van... znaczy Speed zawsze się interesował Ponyville – wyjaśnił Chum. – A to dlatego, bo mieszka tu...

Nie zdążył nic więcej powiedzieć, bo kolega rzucił się na niego i wepchnął gdzieś pomiędzy budynki.

– O co im chodzi? – spytała zaskoczona Lyra.

– To u nich normalne – stwierdził Dalir. – To... gdzie teraz będziesz szła? Bo ja właściwie nie mam nic do roboty...

– Cóż, chyba pójdę do siebie i prześpię się jeszcze trochę – stwierdziła Lyra skręcając w lewo, po czym ziewnęła przeciągle.

– Pozwolisz, że cię odprowadzę?

– Czemu nie.

Domek Lyry był zbudowany stosunkowo prosto jak na equestriańskie standardy. Ściany prawie trzymały pion, a żaden fragment piętra nie wystawał ponad parter.

– No... to chyba pora się pożegnać – powiedziała powoli Lyra, stając przed wejściem. Dalir zdjął jej swoje skrzydło z grzbietu i stanął naprzeciwko.

– No, w sumie... – stwierdził.

Stali tak przez kilkanaście sekund, niepewni, co właściwie zrobić.

– NA CELESTIE, CAŁUJCIE SIĘ WRESZCIE!!! – dobiegł ich znienacka krzyk. Oboje spojrzeli zaskoczeni w kierunku, z którego dochodził, ale zobaczyli tylko zatrzaskującą się okiennicę.

– Eee... – jęknął speszony Dalir.

– To dom Bon–Bon... – szepnęła Lyra. – Największej plotkary w miasteczku. Chciałam cię zaprosić do środka, ale teraz nie mogę. To dopiero będzie pożywka dla plotek... I tak jeszcze dziś całe Ponyville będzie wiedziało o tym, że się całowaliśmy...

– A jeśli się teraz nie pocałujemy?

– Ona i tak rozgada wszystkim, że się całowaliśmy. A jeśli tak... to w sumie co ryzykujemy?

Wychyliła się do przodu, zamknęła oczy i uformowała pyszczek w dzióbek. Dalir kompletnie spalił w tym momencie cegłę, ale po chwili najwyraźniej podjął decyzję.

– Raz kucowi śmierć... – mruknął i zrobił to samo.

\*\*\*

– Jeszcze raz spróbujesz powiedzieć komuś, że Rarcia mi się podoba, a nie wstaniesz z ziemi – powiedział Van do Chuma, kiedy był już pewien, że nikt ich nie słyszy.

– Oj, nie bądź taki... Trochę więcej dystansu do siebie – mruknął z uśmiechem jednorożec.

– Ale pamiętaj, to było ostatnie ostrzeżenie. Jeśli ktoś o tym powie, to będę to ja.

– No dobra, niech ci będzie... – burknął Chum. Van odetchnął głęboko i wrócił na uliczkę, którą przyszliz od dworca.

– Gdzieś nam się Dalir zawieruszył – powiedział, po czym wyciągnął słuchawkę od krótkofalówki i włożył ją sobie do ucha – Hmmm... Nic nie słychać... znaczy nasz kolega jakoś sobie radzi. Zresztą pewnie jest zajęty podrywaniem Lyry...

– Co teraz? – Chum rozglądał się dookoła. – Mamy parę godzin, aż pootwierają sklepy...

– Poszukam całodobowego monopolowego. Może gdzieś będzie – Van skręcił w najmniej reprezentacyjnie wyglądającą ulicę.

– A ja sobie zjem śniadanie – jednorożec wyciągnął z juków kanapkę z sałatą i z pomidorem, po czym zaczął ją jeść.

Przez chwilę Van patrzył na Chuma.

– Hańba ci – rzekł wreszcie.

– Ffemu? – spytał Chum z pełnym pyskiem.

– Nie mówiłeś, że masz kanapkę. Mógłbym ją od ciebie wycyganić.

– Fsef ją? – Chum wyciągnął nadgryzioną kanapkę w kierunku Vana.

– Teraz za późno. Teraz ma syfa i skisła.

\*\*\*

– Kur... znaczy... *oh, come on!* Chcesz mi powiedzieć, że w całym Ponyville nie ma ANI JEDNEGO całodobowego sklepu?! – Van patrzył zszokowany na Carrot Top (albo Golden Harvest, nie pytał jej o imię), która wstała wcześniej, żeby wypielić swoje pole i tym samym była pierwszym kucykiem, na którego natknął się nasz podróżnik.

– Przykro mi, mój drogi – nie przerywając pracy odpowiedziała klacz wesołym tonem, świadczącym, że wcale jej przykro nie jest.

– A wiesz może, który otwierają najwcześniej?

– A to chyba będzie spożywczak przy rynku – klacz machnęła w kierunku centrum miasteczka. – Z tego co pamiętam, o siódmej.

– Okej. Dzięki za informację.

– Nie ma za co. Cześć.

– Do widzenia... To i tak dwie godziny – powiedział Van do Chuma, który stał w pobliżu i czekał, aż kolega skończy rozmowę.

– Możemy poczytać gazetę – Chum wyciągnął z juków zwinięty papierowy rulon. Van zrobił wielkie oczy.

– Skąd ty ją wziąłeś o tej nieludzkiej porze?!

– W Hayventry kupiłem. Specjalnie poprosiłem o wydanie niespecjalnie, przedjarmarkowe. Zobaczmy, czym żyje miasteczko na co dzień... – Chum zaczął przeglądać gazetę, podczas gdy Van zaglądał mu przez ramię. – Hmmm... Nazywa się to „Hayventry Time”, a na pierwszej stronie informacja o groźnym wypadku na budowie...

– Chum kartkował gazetę. – Co dalej... „Śmierdząca sprawa: czyściciele wychodków protestują”... najgorszy suchar wszechczasów... „Potrzeba więcej latarników”... „Sonda uliczna: czy jarmark przyniesie zyski, czy straty”... „Sukces dzieci ze szkoły podstawowej nr 2 na Międzyszkolnym Konkursie Piosenki w Stalliongradzie”... „Hayventry Hornets walili w Dampforest Drums jak w bęben”... A na ostatniej stronie... – Chum zakończył kartkowanie gazety i złożył ją z powrotem – ...„Ślub strażacki Smoke Tracera i Pond Ripple”...

– Smoke Tracer to pocisk z gry Scorched Earth – stwierdził Van.

– A Pond Ripple to filtr z Photoshopa – dodał Chum. – Głupie te tutejsze imiona...

– Sam jesteś głupi – odburknął Van.

W tym momencie kuce wyszły z uliczki na miejsce, z którego miały widok na rynek i znany każdemu fanowi serialu budynek ratusza. Oba ogiery wytrzeszczyły oczy.

– Kur... znaczy na Celestię, co się tutaj działo? – jako pierwszy odezwał się Van.

Rynek był prawdziwym pobojo wiskiem. Stały na nim w ogromnych ilościach stoły z pozostałościami jakiejś ogromnej uczty. Wszędzie dookoła wały się śmieci, resztki jedzenia i napojów, kawałki butelek i szklanek, a czasem na bruku można było zobaczyć i

sztuńce.

– Widzę, że melanz się udał – stwierdził Chum. Van uwiecznił pobożowisko na zdjęciu, po czym podszedł do jednego ze stołów i wziął butelkę z napisem „Apple Family Cider”. Była pusta, więc odstawił ją z powrotem i ruszył w poszukiwaniu pełnej. Wszystkie w zasięgu wzroku były jednak przejryste – zapewne w przeciwieństwie do umysłów kucy, które je opróżniły. W koszach na jedzenie też widać było tylko okruszki.

– Chyba był nalot głodomorów – stwierdził, ostrożnie stawiając kroki pomiędzy kawałkami szkła.

– I pijaków – dodał Chum. – O, zobacz kto idzie...

Pomiędzy stolikami szedł Dalir z rozanieloną miną. Jego wzrok był jeszcze bardziej nieobecny niż wtedy, kiedy spotkali go w Hayventry. Van był prawie pewien, że słyszy szkło chrupiące pod kopytem białego pegaza.

– Sunleaf! – zawołał Chum. Tym razem nie odniosło to skutku.

– Dalir! – krzyknął Van. Dopiero wtedy srebrzysty pegaz zamrugnął i zaczął rozglądać się wokół siebie.

– E... Cześć – przywitał się.

– Narzekalesz, że kiepsko u ciebie z angielskim. Ale doszły mnie słuchy, że świetnie operujesz francuskim – Van zachichotał pod nosem.

– Eee... – chwilę trwało, zanim znaczenie tego zdania dotarło do oszołomionego jeszcze umysłu Dalira. – Co... co wy tu sobie wyobrażaliście?!

– Nic, nic zupełnie. A tak z innej beczki... wiesz może gdzie tu jest spożywcza?

– Szczerze mówiąc... nie rozglądałem się za bardzo...

– Można się było tego spodziewać – westchnął Van. Trzy ogiery ruszyły razem przez rynek. Na drugim końcu pojedyncza klacz kucyka ziemskiego sprzątała stoły. Kiedy podróżnicy podeszli bliżej, rozpoznali ją. To była pani Cake.

– Tu faktycznie jest jak w Beverly Hills. Co krok sławy – szepnął Van kolegom. – Dzień dobry. Zostało coś? – spytał głośno. – Przyjechaliśmy porannym pociągami, a sklepy pozamykane...

– Niestety nie. Wszystko zjedzone – odpowiedziała zmęczonym głosem klacz.

– A... czemu tu nie ma nikogo więcej?

– Jedzenie się skończyło, impreza się skończyła i wszyscy poszli do domu... Gdyby tu była Pinkie Pie, na pewno by mi pomogła i zagoniła do roboty parę kucyków. Ona jako jedyna ma dość energii w sobie, żeby po takiej imprezie jeszcze być w stanie sprzątać... A tak wszystko na mojej głowie – westchnęła cukierniczka.

– Jak to? Pinkie nie ma w miasteczku?!

– W środku nocy wzięła mnie na stronę i powiedziała, że udaje się na supertajną supermisję i że wszędzie mogą czaić się szpiedzy, a ściany mają uszy, więc mam nikomu nie mówić... Ale Pinkie Pie to Pinkie Pie, więc nie zwróciłam na to większej uwagi... aż się okazało, że naprawdę gdzieś zniknęła.

– To może pomożemy? – zaproponował Dalir. – I tak nie mamy nic do roboty...

– Byłabym bardzo wdzięczna.

\*\*\*

Sprzątanie stołów na rynku było bardzo niewdzięcznym zajęciem, ale w czwórkę wszystkie kuce zdążyły uwinąć się z tym w godzinę. Kilka wielkich pojemników na śmieci stojących w rogu rynku było teraz wypełnionych po brzegi, a każdy ze stołów stał przed domem osoby, od której został pożyczony. Naturalnie z wyjątkiem tych, które były z ratusza – te zostały wniesione do wnętrza budynku. Podobnie jak naczynia i sztucce.

– Dziękuję wam bardzo – powiedziała z wdzięcznością pani Cake. – Nie wyobrażam sobie, jak długo sprzątałabym to wszystko sama... Nie potrafię gonić kucyków do roboty. Mój mąż potrafi, ale on musiał pilnować piekarni...

– Ależ nie ma za co. Gdybyśmy nie sprząтали, tylko by się nam nudziło – oświadczył Van. – A teraz chcielibyśmy zjeść jakieś śniadanie... Ten sklep to chyba zaraz otwierają?

– A po co macie chodzić do sklepu? Zapraszam do mnie! O tej porze jest zawsze dużo ciepłych odpadów poprodukcyjnych...

– Eee... Mamy jeść odpady? – zapytał niepewnie Chum.

– Nie martwcie się, to nie jest tak złe jak brzmi. Chodzi o rzeczy typu rozplecione chałwy czy rozklejone drożdżówki... Nie możemy ich wystawić na sprzedaż, ale w smaku praktycznie się nie różnią od tych dobrych.

– A, jeśli tak, to co innego – uspokoił się jednorożec.

– Kochanie! Mamy gości! – zawołała pani Cake od progu. Ubielony mąką pan Cake wychylił się z zaplecza z zaskoczoną miną.

– O, a któż to? – zapytał.

– Pomogli mi przy sprzątaniu... A właśnie, jak się nazywacie? – spytała klacz. – Bo ja jestem Cup Cake.

– Speed Limit.

– Green Bucker.

– Sunleaf.

– Miło mi. To jest mój mąż, Carrot Cake. Razem prowadzimy tę piekarnię... Kochanie, nie znalazłaby się może jakaś rozpleciona chałka czy coś w tym rodzaju?

– Jest tego całkiem sporo – stwierdził piekarz. – Normalnie Pinkie wszystko zjada, ale dziś jej nie ma...

– A gdzie poszła? – spytał Chum.

– Wy się znacie z Pinkie? – zapytała pani Cake.

– Nie, ale słyszeliśmy o niej. Ponoć każdemu, kto przyjeżdża do Ponyville, urządza huczne przyjęcie, żeby mógł poznać wszystkich mieszkańców...

– Owszem, ale was to ominie. Nie powiedziała mi, dokąd idzie. Może zapomniała – wzruszyła ramionami pani Cake. – Pinkie to Pinkie, wszelkie próby logicznego wyjaśnienia jej zachowań są z góry skazane na niepowodzenie. No, ale dość o niej. Skąd wy jesteście?

– Z Imperium Gryfów – powiedział Van. – Dziękuję – to ostatnie słowo skierowane było do pana Cake, który właśnie przyniósł z zaplecza spory kosz pełen niezbyt apetycznie wyglądających, ale za to zabójczo wręcz pachnących kawałków pieczywa. – Przyjechaliśmy do Ponyville, bo usłyszeliśmy o Powierniczkach Elementów Harmonii i chcieliśmy się spotkać z nimi – dodał, biorąc kawałek bliżej nieokreślonego wypieku.

– A jak pani zapewne rozumie, najlepszym sposobem na spotkanie się z nimi bez konieczności zadawania idiotycznych pytań typu „A więc to ty jesteś Elementem Magii, Twilight?” byłaby impreza u Pinkie – uzupełnił Chum, który zdążył już przeżuć i połknąć pierwszy kęs... czegoś. – Sunleaf, nie weźmiesz może sobie kawałka? To jest pyszne...

– Dziękuję, nie jestem głodny – odparł machinalnie Dalir. Siedział z pyskiem podpartym na kopytach i patrzył rozmarzonym wzrokiem przez okno.

– Coś mu się stało? – spytała z troską pani Cake.

– Nieee... nic takiego – stwierdził Chum. – Zakochał się...

– A w kim? To jest, chciałam powiedzieć... – gospodyni zawstydyła się własną ciekawością.

– W Celestii – stwierdził Chum. Van wybuchnął śmiechem.

– W księżniczce?! – piekarka była najwyraźniej zszokowana taką możliwością. – No... ehm... to dość wysokie progi...

– Spokojnie, on sobie żarty robi – odparł Van, wciąż chichocząc pod nosem.

– Nieprawda.

– Prawda.

– Nie kłamałem. Prawda, Sunny? – Chum trącił Dalira w przednią nogę.

– Hańba ci – rzucił Van.

Dalir wciąż się uśmiechał.

– To nie Celestia – powiedział tylko. Wyglądał jak po wypiciu tankowca melisy.

– Mówiłem! Nie ma siły, żeby komuś się spodobała ta biała ru... znaczy żeby zapalać tego rodzaju uczuciami do tak wysoko postawionej osoby – stwierdził Van. – Na dodatek takiej, której się właściwie nie zna...

– Powiedział ktoś, kto... – zaczął Chum. Van spiorunował go wzrokiem i jednorożec przerwał w pół zdania. Tylko uśmiechał się złośliwie.

– A co to była za impreza, co po niej sprzątałyśmy? – zapytał Van gospodyni.

– Dożynki Królewskie. Miała być na nich sama księżniczka Celestia, ale się nie pojawiła – odpowiedziała pani Cake, biorąc sobie z kosza kawałek czegoś bułkowształtnego.

– Celestia? – Van wybałuszył oczy, podczas gdy Chum wyciągnął gazetę z Hayventry i zaczął ją kartkować. – Miała być tutaj... wczoraj wieczorem?

– Tak... Coś w tym niezwykłego?

– Bo myśmy wczoraj wieczorem byli w Hayventry na jarmarku... i jak już wyjeżdżaliśmy, to zjawiała się tam ta biała ru... znaczy księżniczka. A z pani opowieści wynika, że w tym czasie miała być w Ponyville...

– Jesteście pewni? – zapytała zaskoczona pani Cake.

– Całkowicie – odparł Chum. – A wizyta była niezapowiedziana, bo w gazecie nie ma o niej ani jednej wzmianki... a o czymś takim na pewno by napisali. Może ktoś wam dostarczył błędną informację?

– Skąd! Twilight... znaczy się księżniczka Twilight Sparkle przyleciała tu osobiście z Canterlot, żeby wszystkiego dopilnować...

– A może to ona kłamie? – spytał jednorożec. Van i pani Cake jednocześnie wystrzelili fontanny okruszków. Klacz się nawet zakrztusiła.

– Weź ty nawet nie wysuwaj takich sugestii – zrugął Chuma Van, klepiąc gospodynię po plecach. – Skąd ci w ogóle coś takiego mogło przyjść do głowy?!

– Ekhu, ekhu! Twilight... znaczy księżniczka Twilight Sparkle dała się poznać jako... ekhu, ekhu... kucyk całkowicie godny zaufania – stwierdziła szorstko piekarka. Chum wzruszył ramionami.

– Chciałem tylko powiedzieć, że z ludźmi... znaczy z kucykami nigdy nic nie wiadomo – usprawiedliwiał się.

– Ty zachowaj te mądrości dla siebie – burknął Van. – Zaraz mi powiesz, że Fluttershy to wredna jędza...

– *Putting Your Hoof Down* – odparł spokojnie Chum.

– Nie liczy się!

– Eee... O co chodzi? – pani Cake wyglądała na zaskoczoną.

– Oni tak mają – stwierdził spokojnym głosem Dalir, wciąż uśmiechając się do czegoś za oknem. – Radzę się nie przejmować.

– Mniejsza z tym – odparł Chum. – Mimo wszystko sędzę, że powinniśmy o tym pogadać z Twilight. Skoro to ona przyniosła wieść o odwiedzinach Celestii, to może wie też, dlaczego księżniczka pojawiła się w Hayventry.

– Możecie spróbować. Ale na mnie nie liczcie – pani Cake stłumiła ziewnięcie. – Muszę odespać to sprzątanie... Jakby co, biblioteka jest koło rynku. Księżniczka wprawdzie mieszka teraz na ogół w Canterlot, ale wciąż zatrzymuje się w bibliotece, jak przyjeżdża do naszego miasteczka.

- Dziękujemy za informację. I za śniadanie – odpowiedział Van.
- No to idziesz czy nie? – spytał Chum, wstając od stołu.
- Zaraz. Tylko dokończę to... eee... cokolwiek to jest.

\*\*\*

Drzwi biblioteki (która rzeczywiście mieściła się wewnątrz wielkiego drzewa) były zamknięte na klucz. Chum walił w nie dość natarczywie, ale przez dłuższy czas nikt nie odpowiadał. Dopiero po kilku minutach ciągłego pukania zamek zachrobotał, drzwi otworzyły się i wyrzał przez nie zaspany Spike.

- Biblioteka otwarta dopiero od dziesiątej – burknął.
- My chcemy się tylko zobaczyć z Twilight... znaczy z księżniczką Twilight Sparkle – odpowiedział jednorożec.
- Nie ma jej.
- Jak to? Wyjechała gdzieś?
- Nie mogę powiedzieć nic poza tym, że jej nieobecność potrwa co najmniej kilka dni – mruknął sennym głosem smok. – Macie jakiś interes do mnie, czy mogę wracać do łóżka?
- Eeee... W sumie do ciebie to nie...
- Dzięki Celestii – wymruczał pod nosem Spike i zatrzaskał drzwi.
- Myślisz, że to przypadek? – spytał Van. – Pinkie i Twilight znikają razem w noc poprzedzającą nasze przybycie, Celestia ląduje w niewłaściwym mieście...
- Poszukajmy reszty Mane6 – zaproponował Chum. – Może one będą coś wiedziały...
- Niegłupi pomysł – stwierdził Van. – Chyba, że one też wybyły.
- Nie jest to wykluczone, ale nie wydaje mi się. Jakby wyszły wszystkie razem, wszyscy by o tym wiedzieli. A co ty o tym myślisz, Sunleaf... Sunleaf! Dalir! Ziemia do Dalira!!! – krzyknął jednorożec do ucha srebrzystego pegaza. Ten drgnął i zamrugał oczami.
- C-co się stało?
- Słuchałeś tego, co mówiliśmy?
- Nie wiem... znaczy chyba nie.
- Dobra, będę się streszczał – stwierdził Van. – W telegraficznym skrócie: biała ru... znaczy Celestia robi niezapowiedzianą wizytę w Hayventry w momencie, kiedy powinna być w Ponyville, a Pinkie i Twilight wybywają gdzieś w środku nocy, kilka godzin później. Twilight, jak zapewne pamiętasz, ma teraz stanowisko w administracji państwowej, a do tego kanał szybkiej łączności z Celestią pod postacią Spike'a. Do tego to ona przyniosła do Ponyville wiadomość o tym, że Celestia tu się zjawi. Co ty o tym sądzisz?
- Sądzę, że... ten... wizyta Celestii w innym mieście i zniknięcie dwóch spośród Mane6 mogą być ze sobą powiązane – stwierdził Dalir.
- Dobra. A teraz pytanie numer jeden: o co tu chodzi?
- Zenon mówił, że mamy nie ingerować w equestriańskie sprawy wewnętrzne – przypomniał Chum.
- Ja nie ingeruję. Ja chcę tylko wiedzieć, co tu się do jasnej ciasnej dzieje. To co, rozdzielamy się i szukamy Mane6?
- Owszem. Ale zachowajmy łączność – powiedział Chum. – Ja poszukam Applejack...
- A ja Fluttershy – dodał Dalir.
- Chyba nie muszę wam mówić, do kogo ja pójde w pierwszej kolejności – stwierdził Van. Pomacał się po jukach w miejscu, gdzie powinna być słuchawka, ale szybko zorientował się, że ma ją już w uchu. Pozostałe dwa kuce włożyły do uszu swoje słuchawki.

– To na razie – Van oddalił się mniej więcej w kierunku centrum Ponyville, a jego koledzy ruszyli bocznymi uliczkami.

\*\*\*

Dalir szedł powolnym krokiem po obrzeżach Ponyville, rozglądając się za charakterystycznym domkiem Fluttershy. Nie śpieszyło mu się. Oglądał spokojnie sielankowe obrazki, jakie rozciągało przed jego oczami Ponyville: drewniane budynki pomalowane na wesołe kolory, starannie utrzymaną zielen, uśmiechnięte kucyki chodzące za swoimi sprawami... Niektóre, szczególnie klacze, mijając go, wymieniały z nim pozdrowienia, choć przecież nie mogły go znać. Jeszcze niedawno by go to peszyło, ale teraz swobodnie im odpowiadał.

Dookoła nie było żadnej spośród rzeczy, jakie Dalirowi najbardziej przeszkadzały na polskiej wsi (choć szczęśliwie nieobecnych w jego najbliższej okolicy) – tandetnych reklam, obrzydliwych płotów, wiecznie niedokończonych budynków, śmieci w rowach ani bałaganu na podwórkach. Kucyki w widoczny sposób czuły się dumne ze swojego miasteczka i dbały o to, żeby było jak najczystsze. Spacer po takim miejscu był samą przyjemnością, której w najmniejszym nawet stopniu nie psuł chaotyczny układ budynków. Pegaz zatopił się w marzeniach o tym, jak miło byłoby żyć w takim miejscu.

Po chwili jednak otrząsnął się. Miał Fluttershy do odszukania. Problem polegał jednak na tym, że właściwie nie wiedział, gdzie należy szukać jej domku. Wiedział tylko, że należy go szukać na obrzeżach, a obejście Ponyville dookoła mogło trochę zająć i nie gwarantowało sukcesu. Musiał kogoś zapytać o drogę.

– Przepraszam... – rzucił w kierunku najbliższego przechodzącego kucyka, czyli niebieskiej klaczy jednorożca. – Gdzie tu właściwie jest domek Fluttershy?

– A co, szukasz kogoś, kto się zna na zwierzęcych chorobach? – spytała klacz z ciekawością.

– Ja... w innej sprawie.

– Masz zwierzę w domu, ale musisz wyjechać na jakiś czas i chcesz, żeby się nim zaopiekowała?

– Nie.

– Znalazłeś gdzieś rannego króliczka i szukasz kogoś, kto go opatrzy?

– Nie.

– Chcesz kupić jajek?

– Nie.

– Dobra, nie chcesz, to nie mów – wzruszyła ramionami klacz. – Trzecia uliczka w prawo i do końca.

– Dziękuję.

Domek Fluttershy stał na uboczu, z dala od innych zabudowań. Był jednym z bardziej fantazyjnych w miasteczku. Porośnięty trawą dach w kształcie kopuły i zaokrąglone okna i drzwi upodabniały go nieco do domów hobbitów z *Władcy Pierścieni*. Prowadząca do niego alejka ocieniona była drzewami, a za budynkiem znajdował się wybieg dla kur.

Dalir ucieszył się na widok domku i ruszył różnym krokiem w jego stronę. Jednak kiedy podszedł bliżej, zwolnił nieco, zaskoczony tym, że z budynku wydobywała się głośna, skoczna muzyka. Brzmiała tak, jakby ktoś próbował grać techno na saksofonie – trochę przypominała motyw Epic Sax Guya.

Pegaz podszedł powoli do drzwi i zapukał, najpierw ostrożnie, a potem głośniejsze. Uderzenia z trudem jednak przebijały się przez melodię. W końcu Dalir zacisnął zęby i

walnął kilka razy z całej siły. Wtedy muzyka umilkła, a drzwi otworzyły się. Nasz bohater oniemiał na moment.

W środku było mnóstwo leśnych zwierząt najróżniejszych kształtów i rozmiarów. Niektóre stały na środku pokoju, inne przy stole obficie zastawionym jedzeniem i napojami. Pod ścianą znajdował się patefon. Igła była uniesiona, ale talerz z płytą wciąż się kręcił. Nigdzie nie było śladu żółtej klaczy pegaza.

Dalir spojrzał w dół, na niewielką postać, która otworzyła drzwi. Był to biały królik. W jego spojrzeniu można było dostrzec wyrzuty pod adresem gościa, którego przyjście najwyraźniej przerwało imprezę.

– D-dzień dobry... Czy jest Fluttershy? – spytał Dalir. Angel pokręcił głową.

– A kiedy wróci?

Angel wzruszył ramionami.

– No to nie przeszkadzam...

Drzwi zatrzasnęły się Dalirowi przed nosem. Po chwili muzyka rozległa się ponownie.

\*\*\*

Akry Słodkich Jabłek zajmowały znaczne obszary na wzgórzach koło Ponyville. Chum widział je z pociągu, razem z charakterystyczną sylwetką stodoły, która w trakcie trwania akcji serialu była kilkakrotnie odbudowywana. Zapamiętał, z której strony miasta znajduje się gospodarstwo i teraz kierował się tam na przełaj przez Ponyville, bardziej na azymut niż według punktów orientacyjnych.

Idąc slalomem między budynkami, rozmyślał o przeznaczeniu swoim i kolegów, o którym powiedział mu zebrzy znachor i zastanawiał się, w jakiej formie przekazać swoim kolegom, że Twilight oraz Pinkie są w lesie Everfree i że oni tak czy siak będą musieli za nimi ruszyć. A dokładniej, jak to powiedzieć, żeby koledzy wzięli to na poważnie.

Nagle zobaczył, jak z przeciwległego końca ulicy z dużą szybkością nadjeżdża mała pomarańczowa klaczka pegaza na hulajnodze. Chum już z daleka rozpoznał ją jako Scootaloo i stwierdził, że może sobie odpuścić szukanie Applejack, jeśli będzie w stanie znaleźć Rainbow Dash. A klaczka powinna znać miejsce przebywania swojej idolkę.

Jednorożec zdecydowanym ruchem wyszedł na środek ulicy i machnął w kierunku Scootaloo.

– Przepraszam! – zawołał. – Chciałem cię o coś zapytać...

Scootaloo zrobiła wielkie oczy i z całej siły zaczęła hamować skrzydełkami. Chum musiał z powrotem zejść na bok, bo pomimo iż klaczka naprawdę się starała, nie była w stanie wyhamować przed nim – za bardzo była rozpędzona. Zatrzymała się jakieś dziesięć metrów dalej, a jednorożec podbiegł do niej klusem.

– Przepraszam, że zatrzymuję... – zaczął.

– A ktoś ty? – spytała zdziwiona Scootaloo zdejmując kask. – Nigdy cię nie widziałam u nas w miasteczku...

– Mówią mi Green Bucker.

– Miło mi, Scootaloo jestem. Skąd jesteś?

– Z Imperium Gryfów. Do rzeczy... Szukam Rainbow Dash.

– A czemu tutaj, a nie w Cloudsdale?

– Bo do Ponyville było mi bliżej.

– Zresztą w sumie wszystko jedno – Scootaloo wzruszyła ramionami. – I tak jej nie znajdziesz.

– Czemu?

– Bo wyruszyła na epickiego questa! – klaczka wyszczerzyła zęby.

– Co?! Ona też?

– No ba! I będzie walczyć z majestatycznymi potworami, i mieć wielkie przygody... Kiedyś też będę taka jak ona!

– A skąd ty to niby wiesz, gdzie ona poszła?

– Wczoraj w nocy zobaczyłam, jak Rainbow Dash opuszcza imprezę dożynkową, no to ją zapytałam, gdzie idzie. A ona na to, że na wyprawę i że mam nikomu nie mówić... Upsik – klaczka zatkała sobie pysk kopytkami. – Eee... chyba trochę za późno sobie przypomniałam...

– Chyba tak – zgodził się Chum.

– Nie mów nikomu, że ci powiedziałam! Proszę! – Scootaloo przyjęła najbardziej błagalny wyraz pyszczka z możliwych. – Rainbow Dash mnie zabije, jak się dowie! A moi rodzice – dodała ciszej – zabiją mnie, jak się dowiedzą, że wstałam w środku nocy, żeby zobaczyć się z Rainbow Dash...

– Okej, okej, nie martw się. Nikt się nie dowie – powiedział Chum. – A tak z innej beczki... do Sweet Apple Acres to w tę stronę?

– Tak. Właśnie odwoziłam tam Apple Bloom. Jej siostra też się gdzieś w nocy zmyła.

– Czyli to jakaś grubsza sprawa... – mruknął Chum pod nosem. – Dzięki za tę informację – dodał głośniejszym głosem. – To już właściwie nie mam po co tam iść... A właśnie, miałbym do ciebie jeszcze jedno pytanie.

– Słucham – odparła Scootaloo zakładając kask.

– Czy to jedyna hulajnoga w Equestrii? Nigdzie indziej żadnych nie widziałem.

– Zwariowałeś? – Scootaloo spojrzała na Chuma jak na umysłowo ociężałego. – Jasne, że nie! Ale za to jedyna w Ponyville.

\*\*\*

Van powoli podchodził do charakterystycznego budynku Carouselle Boutique. Im był bliżej, tym bardziej opuszczała go pewność siebie.

Serialowa Rarity faktycznie była jego ulubioną postacią. Co innego jednak widzieć ją w serialu, a co innego w rzeczywistości. Kto wie, może scenarzyści zmienili jej charakter... No i jednej ważnej cechy białej krawcowej nie dało się stwierdzić na pewno, dopóki nie zobaczyło się jej na żywo. A mianowicie tego, czy rzeczywiście była tak olśniewająco piękna, jak to sugerował scenariusz. Jakkolwiek dobrzy plastycy nie pracowaliby nad serialem, serialowa Rarity wciąż pozostawała kreskówkowym kucem, narysowanym w ekspresjonistycznym stylu, typowym dla kreskówek wydanych po 2000 roku. A takiej postaci zwyczajnie nie dało się oceniać w kategorii urody.

Dlatego Van, choć właściwie od początku wycieczki planował zawrzeć z Rarity możliwie najbliższą znajomość, teraz, kiedy od celu dzieliło go być może zaledwie kilkanaście metrów, zaczął się poważnie zastanawiać nad tym, czy to, co on robi, rzeczywiście ma sens. Wahał się przez dłuższy czas, aż wreszcie postanowił przypuścić frontalny atak na swoje obawy – czyli, innymi słowy, skoczyć od razu na głęboką wodę i wręczyć Rarity kalosze. Wyciągnął je z juków i trzymając w pysku, podszedł do drzwi butiku.

Teoretycznie kaloszom daleko było do jakiejkolwiek mody... ale w tym szaleństwie była metoda. W życiu każdego, nawet najbardziej wyrafinowanego kucyka zdarzają się chwile, w których trzeba ubrudzić sobie kopytko – i ważne było, żeby w takim momencie... nie ubrudzić sobie kopytek. Innymi słowy, jeśli Rarity z jakiegoś powodu zmuszona byłaby chodzić po błocie, albo u niej w domu odbywałby się remont, kalosze byłyby jak znalazł. A Rarity, jaką znał, nie tylko nie kupiłaby sobie praktycznych, ale niemodnych butów z własnej inicjatywy, ale i roztaczałaby wokół siebie taką aurę modnisi, że nikt nie poważiłby

się dać ich jej w prezencie. A ktoś musiał to zrobić.

Van postawił kalosze przed progiem i zapukał do drzwi Carouselle Boutique. Te otworzyły się.

– Słucham?

– O przewspaniała Rarity, najpiękniejsza z najpiękniejszych klaczy, uroda twa olśniewa każdego, kto się do ciebie chociażby zbliży. Chyba że jest ślepy. Pozwól wręczyć sobie te oto kalosze, które może i nie są najmodniejsze, ale kiedyś ci się na pewno przydadzą...

Tak brzmiały słowa, których Van nie wypowiedział, ponieważ głos postaci, która otworzyła drzwi, był dużo wyższy niż u Rarity, a ona sama była dla równowagi dużo niższa. Sweetie Belle.

– Czy możesz zawołać Rarity? – spytał pegaz.

– Niestety, siostra wyjechała i powróci dopiero za parę dni – oznajmiła klaczka.

– *Fuckin' shit!* – wyrwało się Vanowi. Natychmiast zrobił wielkie oczy i zatkał sobie pysk kopytkiem.

– Słucham? – spytała zdziwiona Sweetie.

– Eee... nic ważnego.

– W porządku – klaczka wzruszyła ramionami. – Czy chce pan uszyć sobie kreację? Rarity nauczyła mnie zdejmować miarę z klientów, więc mogę to zrobić. Siostra na pewno coś panu zaprojektuje, jak wróci... Zwyczajowy termin to tydzień, ale teraz może się nieco przedłużyć.

– Eee... Ja w innej sprawie – powiedział Van. Sweetie Belle spojrzała na kalosze.

– O, przywiózł pan zamówione obuwie?

– Nie. Chciałem dać te kalosze Rarity w prezencie...

– Ale jej urodziny wypadają dopiero za pół roku.

– To bez okazji.

– Dobrze, w takim razie przekażę jej prezent – powiedziała spokojnie Sweetie Belle i wzięła buty w zęby. Przez chwilę próbowała złapać wszystkie cztery naraz, ale w końcu zrezygnowała i najpierw wstawiła do środka dwa przednie, a potem złapała dwa tylne. – Foś jefcze?

– Już chyba nic – mruknął Van. – Na razie...

– Fo fizenia – odpowiedziała uprzejmie Sweetie Belle i zamknęła drzwi.

Van postanowił skontaktować się z kolegami. Odszedł spory kawałek w bok pustą uliczką, aż był pewien, że nikt go nie widzi, po czym ścisnął w zębach zgrubienie na kablu.

– Halo, chłopaki! Słyszycie mnie?

– Słyszemy – odpowiedział w słuchawce głos Dalira

– No ba – dodał Chum. – Co u ciebie? Bo u mnie kicha...

– Rarity nie ma – powiedział Van.

– Fluttershy też nie – dodał Dalir

– Ani Applejack. Ani Rainbow Dash – stwierdził Chum.

– Dowiedziałeś się o Rainbow Dash? Skąd? – zdziwił się Van.

– Skądś... I wiem więcej. Poszły do Lasu Everfree.

– No to już wiemy, gdzie ich szukać...

– A ty w ogóle widziałeś ten las?

– Nie.

– No to wyobraź sobie coś wielkości i gęstości Puszczy Białowieskiej, dodaj tam kucykożerne potwory w dużych ilościach i zastanów się, jak właściwie mamy na takim obszarze znaleźć szóstkę klaczy.

– A może zaczekamy, aż wrócą? – zapytał z nadzieją głos Dalira.

– Nie wydaje mi się – odparł sceptycznie Chum.

Nagle w radiową konwersację trzech kuców wbiły się jakieś szumy, trzaski i urywane

jęki. Trwało to kilka sekund, po czym ucichło. Przez chwilę trwała cisza radiowa.

– Co to było? – zapytał Van jednocześnie z Chumem i Dalirem.

Trzaski i szumy rozległy się ponownie, Tym razem przebijało się przez nie trochę więcej.

– ...pszszzsz... eść chło... pszszzszsz... kiczy... pszszzszsz... szy... pszszzsz...

– Ktoś próbuje nam się włamać na kanał? – zapytał zdziwiony Van. – Ale... kto?

– A oni tu w ogóle mają radia? – zapytał głos Chuma.

– Nie sądzę. I właśnie dlatego się dziwię.

W tym momencie rozległ się inny znajomy głos. Mówił z dużą domieszką szumu.

– Cześć chłopaki, czy mnie słyszycie?

– Psoras? – zapytał zdumiony głos Chuma.

– Nie, kurde, George Westinghouse. Cieszę się, że udało mi się was złapać.

– Jesteś gdzieś w okolicach Ponyville? – spytał Dalir.

– Nie. Wciąż jestem w Manehattanie. Musiałem wyjść na szczyt Horseshoe Tower, żeby się z wami połączyć. Do tego zapomniałem, z której strony właściwie jest Ponyville, więc wcześniej musiałem gadać do siebie z dwóch stron budynku. Ten taras...

Sygnal się nagle urwał.

– Psoras, nie słychać cię – powiedział wreszcie Van.

– Sorki, zapomniałem o przekaźniku zwłocznym. O czym mówiłem?

– Coś o tarasie...

– Aaa, tak. Ten taras widokowy jest bardzo popularny i wszyscy patrzyli na mnie jak na debila.

– A teraz nie patrz na ciebie tak? – spytał Van.

– Też patrzę, ale teraz to przynajmniej czemuś służy. No dobra, ale dość tych bzdur. Mam wam coś do przekazania. Odkryłem, że taki jeden drań chce się zmierzyć z Główną Szóstką...

– A kto taki?

– Empire Builder.

– Ale głupie imię – stwierdził Chum.

– Sam jesteś głu... Nie, to faktycznie głupie imię – stwierdził Van. – I on jest przeciwnikiem Mane6?

– Owszem – potwierdził Psoras.

– Subtelne jak sam skur... znaczy jak nie wiem co!

– Masz rację. Ja bym nigdy czegoś takiego nie zrobił w swoim fanfiku – stwierdził Psoras.

– Coś jeszcze wiesz? – spytał Dalir.

– Tak. Gość ma u siebie komputery.

Przez chwilę panowała cisza radiowa.

– No teraz to już sobie jaja robisz – stwierdził Chum.

– Właśnie nie. Ma komputery i liczy na nich zaklęcia. Sam widziałem, w obecności jednorożca, który potwierdził, że to właśnie te komputery robią.

– A jakie to konkretnie były zaklęcia?

– Jak ja tam byłem, to akurat jakieś głupie dowcipy. Iluzja pryszczy na ciałach kumpli i doczepianie kucom trąb słoniowych... Ale sądząc z jego notatek, wcześniej robił poważniejsze rzeczy. Rozpracował na nich na przykład zaklęcie Elementów Harmonii.

– Co?! – rozległy się jednocześnie trzy głosy, w tym Vana.

– To, co słyszycie. Było tam coś takiego, że dane o położeniu celu pobierane są 0,4 sekundy przed uderzeniem zaklęcia. Ale były tam też inne rzeczy... na przykład...

Dźwięk znowu się urwał.

– Przekaźnik zwłoczny – rozległ się głos Chuma.

– Przepraszam – dało się słyszeć Psorasa. – Gdzie mi przerwało?

– Jak skończyłeś mówić o 0,4 sekundy przed uderzeniem zaklęcia...

– Aaa. Komputer wyliczył też, że jeśli w położeniu (18;42)... cokolwiek to znaczy... względem Elementu Magii znajdzie się pusta butelka, to zwiększa się prawdopodobieństwo „efektu STTM”... czyli, zdaje się, wystania na księżyc.

– Masz tam zapisane te liczby? – spytał Van.

– Nie. Łatwo zapamiętać. Data uruchomienia linii kolejowej Wrocław - Oława...

– Coś jeszcze tam masz? – spytał głos Chuma.

– Zaklęcie jest mocniejsze w obecności twarogu. Nie pytajcie, dlaczego. Jeśli chodzi o Elementy Harmonii, to nic więcej mi w pamięć nie zapadło... Aha, i Builder miał u siebie mapę Lasu Everfree z zaznaczoną starą, niekoniecznie przejezdną drogą z Ponyville do ruin Zamku Królewskich Sióstr, i z dodatkowo wyróżnionymi pięcioma punktami na tej drodze... Wyglądało to jak...

Głos Psorasa znów przerwał w środku zdania.

– Przekątnik... – powiedział Van.

– Kurrdwanów, będę to musiał wyregulować... Gdzie mi przerwało?

– Wyglądało to jak...

– Jak miejsca pułapek zastawionych przez Nightmare Moon w pierwszym odcinku pierwszej serii.

– A może to droga, którą teraz idą? – spytał Van. – I pułapki, jakie on pozostawiał?

– Idą? – Psoras najwyraźniej był zaskoczony. – To znaczy, że... jeszcze ich nie spotkaliście?!

– Nie ma. Już poszły do lasu... Nawet się zastanawialiśmy, czy nie zostać w miasteczku, aż wrócą. Ale teraz, jak nam o tym powiedziałaś, uważam, że musimy je odszukać i powiedzieć im o tym.

– O żesz... – westchnął głos Psorasa do wtóru szumów. – Wydawało mi się, że i tak za nimi pójdziecie...

– Co?

– Nic, nic takiego... Dobra, to chyba będzie wszystko, co miałem do powiedzenia. Wy mi chyba nie macie nic ważnego do przekazania?

– W sumie nie – stwierdził Dalir.

– Okej, wszyscy na tarasie się na mnie gapią. Dość mam bycia w centrum uwagi. Gdzieś czytałem, że są tacy, którzy oddaliby za to pół życia... Nigdy nie zrozumieć ludzi. No nic. Rozłączam się. Na razie.

Przez kilka sekund nikt nic nie mówił.

– Spotkanie przy wejściu do lasu Everfree – zarządził Chum. – W trybie natychmiastowym.

Trzy ogiery patrzyły na ścianę wiekowego lasu.

To nie był mały sosnowy lasek zagubiony wśród bezkresnych pól, do jakich przywykli w swojej ojczyźnie. Drzewa były tu potężne, rozgałęzione, sękaty i silnie ulistnione, co sprawiało, że z oświetlonej słońcem łąki wewnątrz lasu wyglądało na naprawdę mroczne. Splątana roślinność na skraju dodatkowo przesłaniała widok, a wybijające runo leśne i podszyt oraz pousychające niskie gałęzie sprawiały, że po wejściu do lasu widoczność wcale się bardzo nie poprawiała. Wszystko to składało się na wyjątkowo niegościnny wygląd tego miejsca.

Z trudem dało się dostrzec duże kamienie, z których ułożona była stara droga. Częściowo się opierały, częściowo poddawały niszczącemu wpływowi otaczającej roślinności. Szczeliny między nimi porastała trawa i zioła. Dalej, w lesie, droga zwężała się mniej więcej dwukrotnie, a niektóre kamienie były podważone przez potężne korzenie. Wóz miałby duże problemy, żeby tędy przejechać.

– Wiecie co... jak byłem mały i czytałem książki, zastanawiałem się czasem, dlaczego

tak często robiły taki problem z tego, że się ktoś zgubił w lesie – stwierdził po chwili Chum.  
– Po pierwsze, wystarczy iść prosto przed siebie, a prędzej czy później dojdzie się do skraju lasu... a po drugie, w lesie przecież niezgorzej widać pomiędzy drzewami, więc można wszystko wypatrzeć z całkiem daleka. Przegapiłem tylko drobny fakt, że lasy w bajkach wyglądały raczej jak to – wskazał kopytem splątaną ścianę roślinności – niż jak to, co rośnie pod Legionowem i co przywykłem traktować jako las.

– No dobra, ale oczekiwanie nie sprawi, że stanie się mniej przerażający – stwierdził Van. – Idziemy?

– Panowie... Zenon mówił, że mamy nie ingerować – przypomniał Dalir.

– A wiesz, gdzie ja to mam?! Rarity... no i oczywiście cała reszta też... są w niebezpieczeństwie, zagrożone przez jakiegoś gościa, o którym nie wiedzą ani tego, że ma komputery, ani tego, że rozpracował ich najpotężniejszą broń! Możesz być pewien, że już usunął z okolicy cały twaróg... A do tego wie, że aby całe zaklęcie uderzyło w pustkę, wystarczy w ostatniej chwili uskoczyć w bok!

– Nie wiem, czy komputery to aż takie zagrożenie...

– Posłuchaj – westchnął Van. – Mam z kompami do czynienia na co dzień w robocie i dobrze wiem o nich dwie rzeczy. Po pierwsze, potrafią się wieszać z najbardziej błażej przyczyny. A po drugie... można na nich rozpracować wszystko, co rządzi się jakkolwiek logiką. Chum, powiedz mi proszę, bez trollowania i bez ściemy... magia jest logiczna?

– Na razie to wygląda jak jeden wielki bajzel, z tymi wszystkimi rytuałami, amuletami i miksturami, ale... chyba da się znaleźć w tym logikę – stwierdził jednorożec. – Dość dziwną logikę. Są trzy prawa Starswirla Brodatego, jest opisane, w jakich warunkach jakie zaklęcie działa najlepiej, który amulet w jaki sposób je wzmacnia...

– Ty czytałeś te podręczniki od Zenona? – spytał Dalir ze zdziwieniem. – Kiedy?

– W pociągu.

– Ech... Naprawdę musimy tam wchodzić? – spytał srebrzysty pegaz.

– Nie masz co się opierać – powiedział Chum z rezygnacją – I tak tam wejdiesz. Razem z nami. A potem, cokolwiek się stanie, z całą pewnością spotkamy Mane6. Moglibyśmy właściwie iść na ślepo.

Sposób, w jaki Chum mówił z absolutną pewnością o najbliższej przyszłości, powodował u Dalira ciarki na grzbiecie.

– Dalir... ja wiem, o co ci chodzi – stwierdził nieoczekiwanie Van.

– To znaczy? A, i powinieneś mówić mi Sunleaf...

– I tak jesteśmy sami, więc walić to. Może i jesteś trochę zaniepokojony tymi wszystkimi potworami z lasu... ale tak naprawdę tym, co cię tu trzyma, jest Lyra. Prawda?

– No... tak – stwierdził kuc.

– Musimy jak najszybciej wejść do lasu, jeśli chcemy je dogonić... Masz godzinę na pożegnanie się z nią – powiedział zdecydowanym głosem Van. – My w tym czasie kupimy żarcie na drogę. I spytamy pani Cake, czy nie zgodziłaby się przechować naszych bagaży... – pegaz spojrzał na portret Rarity. – Nie chciałbym, żeby TO się zniszczyło...

– On może chodzić po miasteczku nawet tydzień, a my i tak je dogonimy – powiedział Chum.

– Nieprawda.

– Prawda.

– Wiecie co... dwóch spośród nas jest pegazami – postanowił przerwać dyskusję Dalir.

– Może polecimy tam trzymając w dwojkę Chuma?

– O nie! – krzyknął jednorożec, jednocześnie wycofując się w kierunku ściany lasu. – Nie będę nigdzie latał!

– Zobaczymy... A ty leć już! – to ostatnie skierowane było do Dalira, który natychmiast wzbił się w powietrze. Najpierw chciał lecieć prosto w kierunku domku Lyry, ale kiedy przelatywał nad rynkiem, coś przyszło mu do głowy. Skręcił i wylądował przed ladą sklepu

odzieżowego.

– Dzień dobry. Czy znajdzie się bluza... – pegaz się zaczerwienił – w rozmiarze Lyry Heartstrings?

\*\*\*

Lyra szła sobie powoli ulicami Ponyville. Nagle tuż przed nią wylądował Sunleaf, po czym położył przed sobą spory pakunek zawinięty w papier, który do tej pory trzymał w pysku.

– Cześć – powiedział i zastrzygł uszami w wyjątkowo uroczy sposób. – Ten tego...

– Cześć – odpowiedziała wesoło Lyra. – Już myślałam, że zniknąłeś...

– Nie. Ale niestety, wkrótce będę musiał – westchnął pegaz. – Za godzinę ruszamy w drogę...

– Dokąd? – zapytała zaskoczona klacz.

Dalir zastanawiał się przez chwilę. W końcu westchnął.

– Co tam... Do lasu Everfree.

– CO?! – krzyknęła Lyra, aż wszyscy dookoła się na nią obejrzeni. – Sunny, nie wiem czy wiesz, ale las Everfree to nie jest miejski park! Tam jest mnóstwo potworów, z których każdy zjada kucyki na śniadanie!

– Wiem – odpowiedział spokojnie Dalir. – Zapewniam, że zachowam odpowiednie środki ostrożności. Wrócę za kilka dni, nie martw się... Jestem przygotowany.

– A po co tam w ogóle idziesz? – spytała Lyra ze łzami w oczach. Dalir znów się zastanowił.

– Nie mogę ci tego zdradzić – powiedział w końcu. Oczy Lyry się rozszerzyły.

– Jesteś tajnym agentem Imperium?!

– Nie...

– Nie możesz mi powiedzieć? Oczywiście, głupia ja – Lyra pacnęła się kopytkiem w czoło. – Uff... co za ulga, już myślałam, że skończysz jako przekąska dla jakiejś mantykory czy innej hydry... Ale pewnie jesteś szkolony. Nie martw się. Nikomu nie powiem!

Dalir rozejrzył się dookoła. Ze dwadzieścia kuców wszystkich ras przyglądało im się. Co najmniej dziesięć z nich było w zasięgu słuchu.

– Wiesz co... to taki drobny prezent pożegnalny – powiedział, popychając lekko kopytkiem torbę w kierunku cyjanowej klaczy. Ta z ciekawością uniosła pakunek do góry za pomocą lewitacji i rozerwała papier. Jej oczom ukazała się grafitowa bluza z kapturem.

– Zauważyłem, jak ci zimno dziś rano... i pomyślałem, że... się nada – powiedział cicho pegaz.

– Jest wspaniała! – krzyknęła wesoło klacz i natychmiast wciągnęła ją na siebie, choć o tej porze dnia było na to – zdaniem Dalira – już za ciepło. Ciemnoszara bluza tworzyła z jej intensywnymi kolorami zaskakująco dekoracyjną całość. – Dzięki! – dodała jeszcze i przytuliła mocno pegaza. Dalir kątem oka dostrzegł Bon-Bon, która rozmawiała z niebieską klaczą jednorożca, tą samą, która pokazała mu drogę do Fluttershy. Dobiegły go stamtąd słowa:

– ...no przecież mówiłam ci już, że on nie może być od Fluttershy, skoro to Lyra skradła mu całusa...

Biały pegaz spalił cegłę. Akwamarynowa klacz wypuściła go ze swoich objęć.

– No... To ja już lecę. Na razie – wydusił z siebie.

– Do zobaczenia – odparła wesoło Lyra. Dalir wystartował prawie pionowo i popędził w kierunku ściany lasu tak szybko, jak tylko potrafił.

– Szybko się uwinął – stwierdził Van, patrząc na przybliżający się srebrzysty kształt. Dalir, czerwony na pysku i cały zdyszany, wylądował obok kolegów.

– Załatwione. Możemy iść – wydyszał.

– Okej. Pani Cake zgodziła się przechować nam bagaże... w pokoju Pinkie, w którym chwilowo nikt nie mieszka... a Chum się zgodził, żebyśmy go ponieśli – stwierdził Van.

– Wcale nie!

– Wcale tak! Przeleczysz się, szybciej będziemy na miejscu i unikniemy bliskich spotkań z kucykożernymi stworami... A przede wszystkim, będziemy w stanie dogonić Mane6.

– Akurat dacie radę... Ten ledwo z miasta przyleciał, a już zadyszki dostał – jednorożec wskazał na Dalira, którego oddech powoli się uspokajał.

– Nie znasz się na lataniu – stwierdził Van, rozkładając skrzydła. – Można być Blackbirdem... – stwierdził, układając je w kształt litery V – ...albo Boeingingiem – dodał, rozkładając je szeroko na boki. – Ekonomiczny lot jest prawie jak spacer – może trwać godzinami i nie męczyć. A jeśli ktoś się śpieszy, to zmacha się w dziesięć sekund...

– Wypchajcie się – burknął Chum, stając zadem do kolegów. – Ja chcę czuć ziemię pod kopytami!

Van szturchnął w bok Dalira, któremu już prawie przeszła zadyszka, po czym pokazał bez słowa na Chuma, a następnie wykonał kopytem gest przypominający startujący samolot. Dalir momentalnie zrozumiał o co chodzi i kiwnął głową. Jemu też zależało, żeby jak najszybciej zakończyć tę wyprawę.

Chum zaczął spoglądać na kolegów kątem oka, gdy nagle chwyciły go dwie pary silnych kopyt – jedna za przednie nogi, druga za tylne. Ziemia w kilka chwil znalazła się daleko od niego.

– Van! Dalir! Puście mnie! – krzyknął.

– Z tej wysokości? – odezwał się głos Vana gdzieś koło jego zadu.

– Postawcie mnie na ziemi!

– Przepraszamy, ale nie możemy. Stan wyższej konieczności...

– Rany julek, myślicie, że jak macie skrzydła, to wszystko wam wolno?! Może byście mnie najpierw o zgodę spytali? Tu jest zimno, słońce po gałach wali, bo mnie oczywiście przodem do niego ustawiliście, strasznie wieje... No i jak myślicie, jak długo będziecie w stanie tak mnie trzymać?

– Aż do skutku.

– No to super. Nogi mi zdrętwieją od tego ścisku. Wy nawet porządnie złapać nie umiecie. Auć! – Chum skrzywił się i zaczął mrugać oczami. – Mucha mi wpadła do oka! To przez was! Wiedziałem, że wybieranie się gdziekolwiek z wami to okropny pomysł...

Kilka godzin później dwa pegazy i jednorożec wciąż szybowały nad bezkresną puszcza, śledząc wzrokiem ledwie widoczny ślad starej drogi.

Dalir trzymał Chuma za przednie nogi, więc jego uszy były siłą rzeczy bliżej pyska zielonego jednorożca niż uszy Vana, co oznaczało, że narzekanie ich pasażera było dla niego bardziej dotkliwe. Ten jednak przestał już marudzić – wyglądał na zrezygnowanego. Las też był na ogół cichy.

– Co powiecie na to, żeby sobie pośpiewać? – spytał Van, przerywając milczenie. Pytanie zadał po polsku, jako że w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby ich usłyszeć.

– O nie! – krzyknął Chum. – Nie, nie, nie, nie...

– *Kupiłem skrzynkę browarów, po browarze nie boję się komarów...*

– Nie, nie, nie, nie, nie, nieeeeeeeeeeeeeeeee!!!

– *Dalira ciotę ciągle rypią, bo on nigdy nic nie wypił...*  
 – Ej! – zawołał Dalir. – Bez takich!  
 – *Chum to trochę mniejsza ciota, bo się schleje co sobota...*  
 – Dzięki – odparł jednorożec z przekąsem.  
 – *Ale największy miszcz to JA, bo w dzień wypijam osiemdziesiąt dwa!*  
 – Samochwała – skomentował Chum. Van niezrażony kontynuował piosenkę.  
 – *Chleję browar całe dnie, jenenenenenenenene, żeby Dalir nie był ciotem, to by ze mną leżał pod płotem, chleję browar całe dnie, jenenenenenenenene, żeby Chum był mniejszym ciotem, to by leżał nie tylko w sobotę...* – fałszował pegaz straszliwie.  
 – Uszy wędną... Słuchaj, Dalir, może zrobimy sobie tu postój? – zapytał Chum. – Przynajmniej się zamknie. A jak nie, to będzie gdzie uciec.  
 – Um... czemu nie – odpowiedział Dalir i rozpoczął zniżanie.  
 Nagle do uszu trójki kuców dotarł niesamowity hałas. Brzmiał tak, jakby wszystkie potwory naraz postanowiły zrobić sobie imprezę w tym akurat miejscu. Natychmiast wznieśli się z powrotem w górę.  
 – Ale nie tu i nie teraz – dodał biały pegaz.

Van śpiewał już od dobrej godziny. Zdawało się, że ma nieograniczony repertuar kretyńskich piosenek, które wykonywał nie tyle trzymając się linii melodycznej, co oscylując sinusoidalnie wokół niej. Dalir postanowił za wszelką cenę nie słuchać tego muzycznego holocaustu i zamiast tego myśleć o czymś innym. Skupił się na locie. Na samej czynności pokonywania odległości wysoko nad powierzchnią ziemi. Z pewnym zdumieniem stwierdził, że przyszło mu to zadziwiająco łatwo i że dostarcza mu to niebywalej przyjemności.

Dalir jeszcze jako człowiek często marzył o lataniu. O tym, żeby móc oderwać się od ziemi i szybować w przestworzach jak ptak. Ilekroć fantazjował o przemianie w kuca, zawsze wizualizował sobie swoją postać jako pegaza. Teraz, kiedy jego marzenia stały się rzeczywistością, czuł, jak powoli wypełnia go euforia.

Dawno już przestał zwracać uwagę na towarzyszy podróży. Nic nie mogło przeszkodzić mu w upajaniu się czystą radością lotu. Machał skrzydłami coraz szybciej i szybciej, gnając przed siebie przez przestworza, a pęd powietrza szumiał mu w uszach i targał jego grzywą i ogonem.

Van coś do niego krzyknął, ale Dalir nie usłyszał, co dokładnie. Nagle drugi pegaz niemal zatrzymał się w miejscu. Zanim Dalir zorientował się, co się dzieje, cała trójka wykonała już pół obrotu. Pysk białego pegaza przeciął uśmiech.

– Łiiii! Karuzela! – zawołał na głos i zwiększył siłę ciągu skrzydeł. Dwa pegazy i jednorożec wiszące nad lasem Everfree zaczęły wirować coraz szybciej. Van znowu coś wrzeszczał i po raz kolejny nie dotarło to do uszu pegaza, upojonego szaloną radością wirowania na podniebnej karuzeli.

– Dalir! Stój, bo zrobię się jeszcze bardziej zielony! – krzyknął Chum. Jego głos przywrócił pegaza do rzeczywistości. Wyhamował skrzydłami i stanął w miejscu.

– Co ty, kurwa, odpierdalasz?! – Van wyglądał na wkurzonego. Dalir przełknął ślinę.

– Ee...

– To, że chcesz być obrzygany przez Chuma, to sprawa między wami dwoma i ja się w to nie mieszam. Ale nie musisz przy okazji robić nam wszystkim dodatkowych atrakcji. A przede wszystkim nie zapominaj, że szybkie latanie szybko męczy. Zmachasz się i będziesz nas potem spowalniał. Zrozumiano?!

– Przepraszam... – do Dalira powoli zaczęło docierać, co właśnie zrobił.

– Daj spokój, Van, bo chłopaka w kompleksy wpędzasz – niespodziewanie wziął go w obronę Chum. – Tak jak mówiłem, spotkanie z Mane6 jest nam przeznaczone i nie uciekniemy przed nim... cokolwiek Dalir by nie zrobił.

– Ech... – Van pacnął się lekko kopytem między oczy. – Dobra, walić to. Tylko niech mi ktoś powie, w którym kierunku mamy teraz lecieć?

Dalir rozejrzał się dookoła. Ze wszystkich stron otaczała ich odwieczna puszcza. Zorientował się, że nie ma pojęcia, skąd przylecieli ani gdzie jest ich cel. Zamek Królewskich Sióstr nie był jeszcze widoczny na horyzoncie, a Ponyville już dawno za nim zniknęło. Krótkie poszukiwania ujawniły wprawdzie ukryty między drzewami ślad starej drogi, ale nie było wiadomo, w którą stronę należy podążać wzdłuż niej.

W tym momencie białego pegaza zaczęła łąpać spóźniona zadyszka. Dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, jak bardzo zmęczył go długi lot. Jego skrzydła przecięła błyskawica bólu. Zacisnął zęby i próbował nimi machać dalej, ale nie był w stanie utrzymywać wysokości. Dyszał coraz szybciej i szybciej.

– Ech, wy debile – mruknął Chum do siebie. – Przez ostatnią godzinę czy coś takiego słońce świeciło mi w twarz. Potraktujcie to jako wskazówkę...

– Czyli musimy lecieć w tamtą stronę – Van wskazał kopytem odpowiedni kierunek, po czym spojrzał na Dalira, a na jego pysku pojawił się wyraz zaskoczenia. – Dalir... co ci jest?

Srebrzysty pegaz dyszał ciężko i powoli obniżał lot.

– Nic... takiego... – wysapał. – Zadyszka...

– Nosz kurwa, zerwałeś się do gwałtownego wysiłku bez przygotowania! Wiedziałem, że to się musi tak skończyć... Lądujemy!

W tym miejscu znajdował się niewielki wiatrołom, który musiał powstać stosunkowo niedawno, jako że powalone drzewa miały jeszcze na sobie świeże liście. Pegazy lotem szybowcowym zleciały tuż nad drogę, po czym wypuściły Chuma i same wylądowały obok. Uwolniony jednorożec natychmiast zaczął przebierać nogami w miejscu.

– Kurrde, jeszcze zakrzepicy żył dostanę... – stęknął.

Tymczasem Dalir wciąż sapał jak parowóz, choć już nieco wolniej. Van stał koło niego.

– Koniec latania na dziś – oświadczył kategorycznym tonem.

– To... drobiazg – wydyszał Dalir. – Odpocznę trochę... i możemy... lecieć dalej...

Tak naprawdę wcale nie był tego taki pewien. Skrzydła bolały go nawet w pozycji złożonej.

– Nie, nie możemy. Poza tym za godzinę zachodzi słońce. Musimy się gdzieś zatrzymać na noc.

– Tutaj? – spytał Chum.

– A czemu nie? Miejsce równie dobre, co każde inne.

– A... potwory? – spytał Dalir.

– Nazbieramy drewna i rozpalimy ognisko na drodze. To powinno je odstraszyć.

Ciekawe, że Van wziął zapalki, pomyślał Dalir, siedząc razem z kolegami przy ognisku na pniu powalonego przez burzę drzewa, które leżało w tym miejscu w poprzek drogi. Ognisko podróżnicy zdecydowali się rozpaść już poza obszarem wiatrołomu, żeby zmniejszyć ryzyko podpalenia powalonych drzew, a tym samym pożaru lasu. Białe pegazy wpatrywały się w tańczące płomienie, odpoczywał po długim locie i jednym uchem przysłuchiwał się Chumowi i Vanowi, którym akurat zebrało się na śpiewanie na dwa głosy francuskiej piosenki z polskim tekstem:

– Żule tu są...

– Żule tu są...

– I ja, lubię ich...

– Lubię ich...

– Oni mnie...

„Zenon stwierdził, że dobrał nas według profili psychologicznych... Chyba zgubił jakiegoś minusa w równaniu” – pomyślał srebrzysty pegaz, spoglądając na kolegów. Ci

akurat dośpiewali piosenkę do końca, albo też nie pamiętali ciągu dalszego, bo obaj umilkli. Po krótkiej chwili Van uśmiechnął się.

– *I have fucking idea!* – krzyknął.

– O nie... – westchnął Chum. – Zawsze, jak to mówisz, cała sprawa źle się kończy. Najczęściej na twoim kanale pojawia się wtedy nowy filmik...

– Nie martw się – odpowiedział pogodnie Van. – Ta konkretna *fucking idea* powinna ci się spodobać. Pomyślałem po prostu, że przydałoby się nam trochę PMV Potion...

– Taaaa... chyba pędzonej z liści – mruknął jednorożec.

– Co to jest PMV Potion? – zapytał Dalir.

– Alkohol – odpowiedział Chum. – Tylko że w środku lasu nie bardzo jest skąd go wziąć... – przerwał w pół słowa, a na jego pysku odmalowało się nieopisane zdumienie. Van właśnie wyciągnął ze swoich juków litrową butelkę wódki. – Skąd to masz?

– Wziąłem pod swoje skrzydła, jak byliśmy w Grudziądzu. Polewamy!

Okazało się, że juki Vana zawierają też trzy metalowe, emaliowane kubki. Każdy z nich został napełniony odrobiną wódki.

– Dziękuję – powiedział Dalir, kiedy Van zachęcającym gestem wskazał mu kubki. – Ja nie piję.

– Czemu?

– Jestem w 89% abstynentem.

– Czyli pijesz trunki tylko do 11%? To da się załatwić...

– Nie, nie o to chodzi. Po prostu... nie, i koniec.

– Daj spokój – nalegał Van. – Z nami się nie napijesz? Tylko trochę, dla towarzystwa...

– No... ostatecznie jedna kolejka może być – mruknął Dalir, biorąc jeden z kubków.

Chum także wziął swój.

– Trzeba wymyślić toast – stwierdził. – Hmmm... Za Equestrię!

– Za powodzenie wyprawy! – dodał Dalir.

– Za Rarcie! – zakończył Van. Trzy kuce jednocześnie przechyliły kubki. Dalir zrobił wielkie oczy i zaczął się krztusić.

– Co jest? – spytał go Van. – Nie przywykłeś do mocnych trunków?

Dalir nic nie odpowiedział, a to z tej przyczyny, że wciąż kaszłał.

– Masz – Chum podał mu butelkę z wodą. – Popij.

Biały pegaz chwycił naczynie i pociągnął solidny łyk. Odjął butelkę od pyska i westchnął z ulgą.

– Dzięki – powiedział. Jego pysk wykrzywił błogi uśmiech.

– Nie ma za co.

Tymczasem Van wpatrywał się w płomienie i intensywnie nad czymś myślał.

– Chum... – odezwał się po chwili – ...czy te twoje podręczniki do magii mówią, czego i kiedy możemy się spodziewać ze strony przeciwnika Mane6?

– Absolutnie wszystkiego – stwierdził jednorożec. – Z tego co mówił Psoras, lada chwila mogą nam wyrosnąć trąby słoniowe.

Dalir spojrzał na kolegów i nagle wybuchnął śmiechem. Śmiał się coraz głośniej i głośniej, aż zaczął rechotać tak głośno, że aż przewrócił się na grzbiet.

– Co jest? – spytał zaniepokojony Chum. Dalir próbował opanować śmiech, leżąc nogami do góry, jednak nie bardzo mu to wychodziło.

– Cha, cha, cha... właśnie sobie... cha, cha... wyobraziłem was z tymi... pffff... słoniowymi trąbami! – krzyknął, przewracając się na bok i zwijając ze śmiechu. Chum pokręcił głową.

– Van, zepsułeś Dalira – stwierdził. – Było nie dawać mu alkoholu.

Van patrzył na roześmianego pegaza z pewną zazdrością.

– Chciałbym być tak ekonomiczny alkoholowo jak on... – mruknął. – Dobra, lecę się odlać...

– Nie! – krzyknął Dalir, krztusząc się ze śmiechu.  
– Dlaczego?  
– Piłeś, nie leć, koniu... Kucu... Latający kucu... Cha, cha, cha, cha!  
Van pokręcił głową i pomaszerował w krzaki.